CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 8 18 I 1990 r. Cena 450 zł

NOMADZI Z TYBETU

Na płaskowyżu Tybetu nomadzi przepędzają swoje stada owiec, kóz i jaków z pastwiska na pastwisko tak jak przed setkami lat. Nomadzi tybetańscy – jedna z ostatnich tego typu wielkich społeczności na świecie – żyją tak jak kiedyś, w skleconych samodzielnie, bardzo prymitywnie i surowo urządzonych namiotach. Ubierają się również tradycyjnie. Kobiety oczywiście bardziej kolorowo. Te dwie kilkunastoletnie dziewczyny, będące siostrami, stroją się w kolorowe paciorki. Właśnie nanizują na nitkę jedną z ozdób.

Fot. **archiwum**

Z ketchupem na „Disneya"

(PAP). Przedstawiciele Związku Młodzieży Komunistycznej Francji zorganizowali w Paryżu demonstrację przeciw sprzedaży akcji Disneylandu. Demonstranci obrzucili samochód – w którym znajdował się dyrektor firmy „Walt Disney Company" i prezydent parku zabaw – torebkami z mąką, jajami i butelkami z ketchupem. Żądali przeznaczenia pieniędzy, które pochłonie budowa Disneylandu, na nowe szkoły i stanowiska pracy.

Najdrożej żyje się w... Japonii i Austrii

(PAP). W prasie amerykańskiej ukazała się statystyka dotycząca kosztów utrzymania w niektórych państwach. Wzięto pod uwagę wydatki na mieszkanie, żywność i usługi.

W takim zestawieniu okazało się, że najdrożej żyło się w połowie br. w Japonii, gdzie w porównaniu z USA koszty te wynosiły o 40 proc. więcej. W Europie natomiast najdrożej wypadła Austria, gdzie było o 20 proc. drożej niż w USA. Tyleż samo drożej jest w RFN.

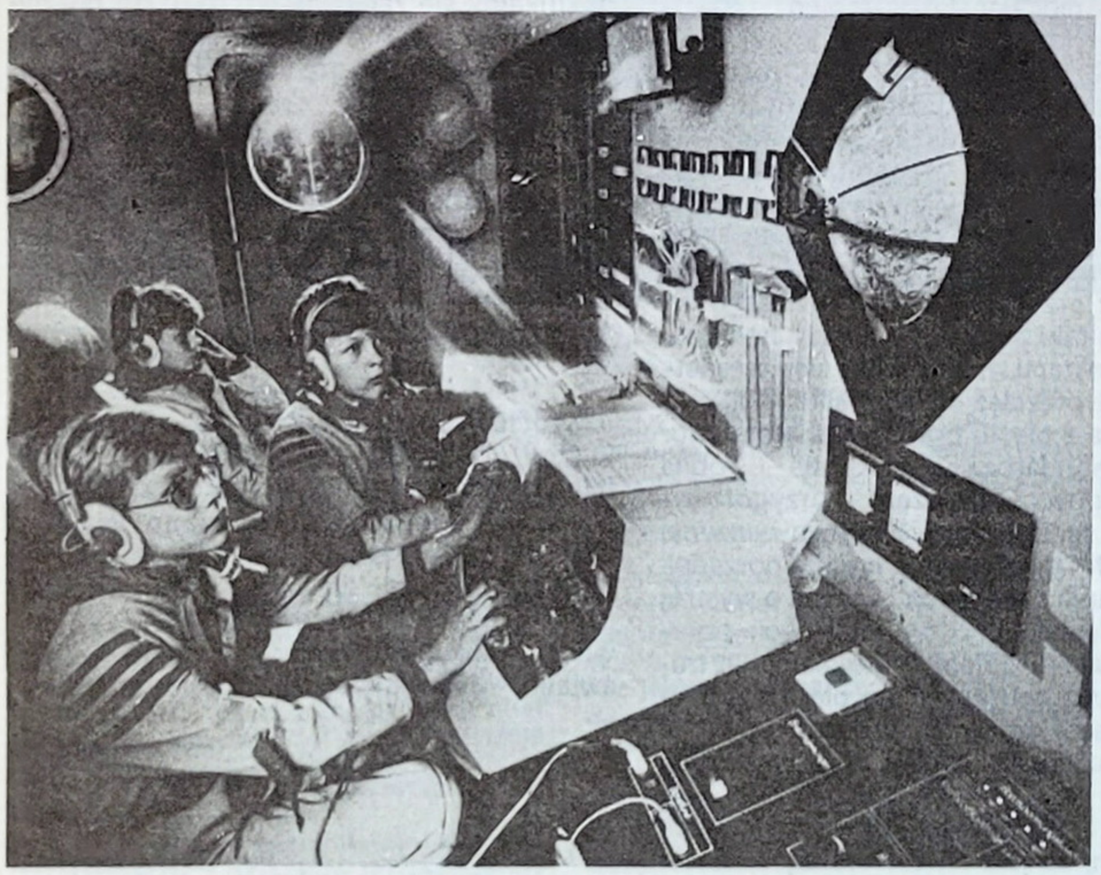

Zawód: kosmonauta

Ci chłopcy to entuzjaści 20-minutowych „lotów w przestworza Kosmosu". Korzystając z uproszczonego symulatora lotów kosmicznych, przeżywają kosmiczną przygodę, a może nawet oswajają się ze swoim przyszłym zawodem? Taką możliwość mają dzieci w Karl-Marx Stadt (NRD) w Sekcji Kosmonautyki przy Młodzieżowym Domu Kultury.

Fot. **CAF**

RATUJ PSY, RATUJ PTAKI, BO SĄ GŁODNE NIEBORAKI!

... Mam w domu dwa psy i kota wiecznie głodnego. Moja babcia przez cały rok karmi ptaki, bezdomne zwierzęta. Wiele psów znalazło u niej schronienie w zimowe noce, niestety nie może trzymać psa na stałe, choć bardzo by chciała, ale nie ma już sił, żeby z nim wychodzić na spacer. Znam wiele starszych osób, które chciałyby otoczyć opieką zwierzęta, ale przecież często te osoby same potrzebują pomocy. Może to my, młodzi, powinniśmy im pomóc. Co Wy na to?

Magda

Fot. **M. Szymański**

Medium zodiakalne. Napisz!

Kolor włosów, oczu i datę urodzenia.

Komes
Os. P.O.M. 9
96-515 Teresin

G-212

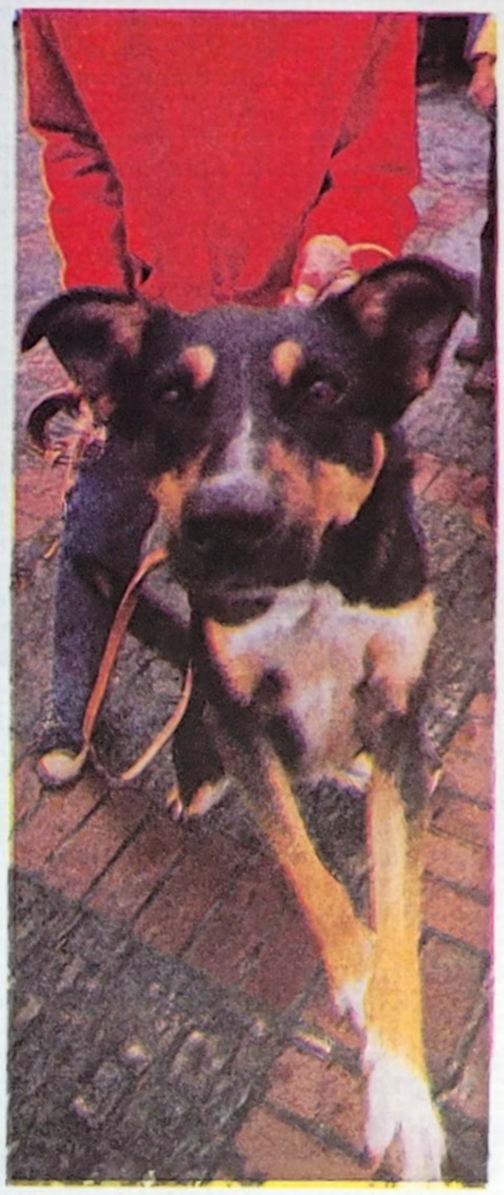

SUPERBABCIA!

(PAP). Elisabeth Graber jest najszczęśliwszą prababką na świecie. W wieku 87 lat mieszkanka amerykańskiego stanu Indiana świętowała narodziny swego 154 prawnuka.

WIDEOTELEFON DLA MAS

Brytyjska firma „Telcom" wyprodukowała wideotelefon, który – jak pisze „Times" – jest zwiastunem nowego pokolenia popularnych aparatów telefonicznych.

Biurowy wideotelefon (przekątna ekranu równa 10 cm) ma być przetestowany na początku 1990 roku przez wybraną grupę brytyjskich biznesmenów.

Zdaniem ekspertów, w połowie lat dziewięćdziesiątych już 50 proc. mieszkańców W. Brytanii będzie dysponować tego typu wideotelefonami, a w 2000 r. – 85 proc.

Chemia i chemicy

na znaczkach pocztowych (7)

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

IGNACY ŁUKASIEWICZ

Ignacemu Łukasiewiczowi, twórcy światowego przemysłu naftowego, są poświęcone znaczki:
– nr 1034 z 1960 r. wydany z okazji V Naukowego Zjazdu Farmaceutycznego w Poznaniu,
– nr 2651 z 1982 r. z okazji 100. rocznicy śmierci – w serii lamp

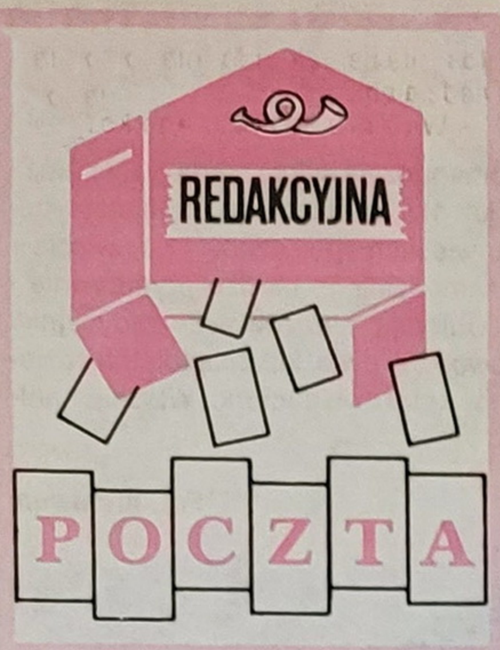

Złodzieje

Chciałabym poruszyć bardzo niemiłą sprawę. W szkole, do której chodzę, bardzo często zdarzają się kradzieże. Parę razy doświadczyłam tego na własnej skórze. Giną ubrania, przybory szkolne, a nawet pieniądze.

W szkole panuje atmosfera podejrzliwości, wszyscy podejrzewają wszystkich.

Chciałabym zaapelować do wszystkich czytelników „Świata Młodych" o to, by nigdy nie poniżyli się do kradzieży.

Ania K.

Szkolna oferma

Mam 13 lat. W szkole wszyscy uważają mnie za ofermę. Często słyszę przezwiska typu „Anemik", „Lelak". Bardzo się tym martwię. Być może jestem powolny i sprawnością fizyczną nie dorównuję rówieśnikom, ale to nie powód, żeby wyśmiewać się ze mnie.

Wiele razy próbowałem znaleźć przyjaciół, lecz bez skutku. Może ktoś z Was spróbuje mi pomóc?

„Zrozpaczony"

Odrobina cierpienia w miłości

Nigdy nie pisałam do RP i nie prosiłam o pomoc. Nie lubię mówić o sobie, ale tym razem czuję, że muszę.

Moja miłość zaczęła się ponad trzy lata temu. Wtedy właśnie go poznałam. Rozmawiał ze mną dwa razy, a później nawet nie mówił „cześć". Tak jest do dzisiaj. Spotykam go nieraz na ulicy. Patrzy na mnie, ale nic nie mówi i idzie dalej. Kłaniam się jego rodzicom, lecz tylko wtedy, gdy idą bez niego. On mnie onieśmiela.

Nie chcę chodzić z innym chłopcem, choć mogłabym.

Czuję się potwornie zmęczona i bezradna. Bardzo chciałabym go wreszcie bliżej poznać. Poradźcie, co mam robić.

Zmęczona miłością

OD REDAKCJI: Niestety nie znamy lekarstwa na nieszczęśliwą miłość, ani zaklęcia, które odmieniłoby serce chłopaka.

Skoro czekanie „aż samo przejdzie" nic nie dało, pora przystąpić do działania. Spróbuj zbliżyć się nieco do obiektu swoich westchnień. Zainteresuj się, czy przypadkiem nie należy do jakiegoś klubu, którego członkiem i Ty mogłabyś zostać. Warto postarać się o wspólnych znajomych. Nie zaszkodzi też przechodząc obok przesłać mu promienny uśmiech. Taki uśmiech nic nie kosztuje, a daje dużo do myślenia.

W razie gdyby zawiodły nasze rady, pozostaje jeszcze lubczyk. Tylko jak go podać? A może czytelnicy znajdą bardziej skuteczny środek? (bk)

Rodzice contra znajomi

Jestem 14-latką. W rodzinnym mieście nie mam wielu znajomych, ale od ponad dwóch lat przyjaźnię się z osobami z pobliskiej miejscowości. Oni co miesiąc zapraszają mnie i moją siostrę do siebie. I tu zaczyna się mój kłopot. Rodzice nie pozwalają mi na te odwiedziny, przeciwni są wszelkim wyjazdom do tamtej miejscowości. Prosiłam, błagałam. Nic nie pomogło.

Nie wiem już, co mam robić. Może Wy mi poradzicie?

Załamana **„Nicol"**

„Recepta na zbiórkę"

Nowojesienne życzenia

To dobry zbieg okoliczności, że pierwsze jesienne spotkanie zastępu miało się odbyć akurat pierwszego dnia jesieni. Łamałam sobie głowę nad obliczeniem dokładnej godziny jej nadejścia. Było mi to niezmiernie potrzebne, zbiórka bowiem miała dotyczyć punktualności. Nic więc dziwnego, że bardzo się ucieszyłam, kiedy pewnego poranka radio powiedziało mi, że jesień rozpocznie się o 14.19.

– *Fajnie, jesień przyjdzie do harcówki dokładnie dziewiętnaście minut po dziewczynach* – pomyślałam. Co do jesieni, to przynajmniej było wiadome, że się na spóźni. Ale o dziwo: dziewczyny też przyszły punktualnie. No, prawie.

Na wstępie pozwoliłam im zgadywać, co też się dziś bardzo ważnego wydarzy. Ten wstęp byłam zresztą zmuszona ograniczyć do minimum: miałyśmy przecież tylko dziewiętnaście minut na nauczenie się piosenki. Na wszelki wypadek miałam przygotowane dwie. Jedną o tym, że „odchodzi lato", drugą już całkiem jesienną, bo „na przełęczy przysiadł wrzesień". Żeby mogły wybrać.

Dyktowanie słów zajęłoby zbyt dużo czasu, rozdałam więc przygotowane wcześniej kartki z tekstami. Warto było, bo wchodzącej do harcówki jesieni mogłyśmy już całkiem poprawnie zaśpiewać piosenkę.

Przedtem jednak byłyśmy zajęte odliczaniem ostatnich chwil lata: – *cztery! trzy! dwa! jeden! Jest 14.19!*

Wzniosłyśmy toast mlecznym koktajlem – „za Jesień". Złożyłyśmy sobie nowojesienne życzenia.

Następne zadanie: przynieść w ciągu 30 minut jak najwięcej jesieni.

Chodziło mi nie tylko o jesień, ale i o to, aby dziewczyny nabrały orientacji w czasie bez zegarków. Sprawdziłam specjalnie, że tąkowych przy sobie nie mają. Muszę się przyznać, że był to niewypał. Jedna grupa po prostu zapytała kogoś w parku o godzinę i tylko dlatego przyszła niezwykle punktualnie (wniosek: takie ćwiczenia przeprowadzać należy na zupełnym odludziu). Druga grupa nałapała dużo, dużo jesieni i przyszła, nie zwracając na nic już uwagi, po dziesięciu zaledwie minutach. Wyczuwanie czasu nie udało się, ale za to jesieni naznosiły dziewczyny całe mnóstwo. Pełne ręce i kieszenie liści, kasztanów, gałązek. Nawet jedno piórko.

Zaczęłyśmy budować pomnik jesieni. Mimo że nie brzmi to może zbyt poważnie, miałyśmy całkiem pouczającą zabawę, mającą na celu wyrabianie i kształtowanie zmysłu estetycznego. A ile przy tym przyjemności! Stworzyłyśmy barwną, odznaczającą się prawdziwym wyczuciem i smakiem kompozycję roślinną. Na dużej drewnianej tacy na owoce i w małych dzbanuszkach – wielopoziomową, nader dekoracyjną. Wielki pomnik! Do tej pory stoi w kącie.

Jego „odsłonięcie", choć odbyło się bez ściągania białego prześcieradła, uczciłyśmy zaśpiewaniem naszej nowej jesiennej piosenki. I rozśpiewałyśmy się tak, że w końcu nauczyłyśmy się i tej drugiej, przygotowanej wcześniej przeze mnie.

Cała ta zabawa bardzo nam się spodobała. Ponieważ do następnej jesieni trzeba jeszcze strasznie długo czekać, więc najlepiej uznać, że każda z pór roku godna jest własnego toastu i wielkiego pomnika.

Zastępowa Joanna

Trafiłam do „Oazy"

Trafiają tu różnymi drogami. Najczęściej – przez zwątpienie. Gdy zostanie rozwiązana kolejna drużyna, gdy rozleci się paczka, która miała być razem „na zawsze", kiedy już brakuje wiary w to, że jeszcze istnieje coś, w czym można znaleźć swoje miejsce, gdy ma się coraz większe wątpliwości co do piękna i sensu życia, przychodzi się właśnie tu. Bo do ludzi, którzy to prowadzą, do ich konsekwencji, do trwałości tego, co robią, intuicyjnie ma się zaufanie.

Ja... Na początku się z nich, tych z „Oazy" śmiałam. Bo oni tak strasznie się starali, żeby to co robią, było widać, żeby się o nich mówiło. Postawili na osiedlu duży krzyż i co jakiś czas zbierali się koło niego z gitarami. I śpiewali. Organizowali ogniska, wypady do lasu i mecze piłki nożnej. To wszystko przypominało mi trochę... pierwszy rok pracy w mojej byłej drużynie i, szczerze mówiąc, zniechęcało. Miałam wrażenie, że oni się z tą głośno afiszowaną przyjaźnią do całego świata zgrywają, że ten cały ksiądz Mariusz, o którym ciągle z uwielbieniem niemal gadali, musi być niesamowicie drętwy. Taki przyjaciel młodzieży, co to rozumie, pomoże i powygłupia się z „najdroższą młodzieżą", a przy okazji dobrze i pedagogicznie na nią wpłynie. Dorosły, który łaskawie zniży się do naszego poziomu, bo nas kocha. Brrr!

A jednak trafiłam do „Oazy". Któregoś dnia zupełnie przypadkowo poszłam na młodzieżową „oazową" mszę. Zobaczyłam wtedy po raz pierwszy z bliska, jak oni się modlą, jacy są dla siebie nawzajem, poznałam księdza Mariusza i... spodobało mi się. Bo to wyglądało tak bardzo prawdziwie.

W piątek – dzień, kiedy „Oaza" spotykała się w grupach, trochę wbrew sobie samej, poszłam w stronę kościoła. Spotkałam grupę Agnieszki i... już z nimi zostałam.

Tyle nowych rzeczy... Więc tak: „Oaza" podzielona jest na mieszczące się przy parafiach wspólnoty. Każda wspólnota ma swojego księdza opiekuna – moderatora i podzielona jest na kilkuosobowe grupy, na czele których stoją animatorzy. Żeby takim animatorem zostać, trzeba mieć trzy stopnie. Każdy z nich zdobywa się w czasie kolejnych wakacji na dwutygodniowych rekolekcjach.

Mój pierwszy stopień zdobywałam niedaleko Lęborka – w Stowięcinie. Przyjechałam tam jako jedna z ostatnich i zastałam 120 nieznanych, często zupełnie różnych ode mnie ludzi. Zwątpiłam w możliwość stworzenia z nas jakiejś zwartej, zaprzyjaźnionej grupy. A co dopiero wspólnoty!

Przez pierwsze dwa, trzy dni było tak, że myślałam głównie o tym, by stamtąd jak najszybciej wyjechać. Jadąc do Stowięcina wiedziałam wprawdzie, czego po tym wyjeździe oczekuję (chciałam lepiej poznać Boga i zbliżyć się do Niego), ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że dzień na rekolekcjach będzie wyglądał aż tak „klasztornie". Rano: pobudka, jutrznia, śniadanie, śpiew, szkoła modlitwy (czyli filozoficzno-psychologiczne rozważania o człowieku), „Namiot spotkań" – rozmyślania nad Pismem Świętym i w południe – Anioł Pański. Po obiedzie: „Wyprawa otwartych oczu", podczas której uczyliśmy się widzieć Boga wszędzie, i rozmowa ewangeliczna – analiza poszczególnych wersów Pisma Świętego. Msza Święta, a po niej kolacja. Aż wreszcie „Pogodny wieczór": ognisko, czasem filmy na wideo, czasem spotkanie w kościele. A na koniec, koło dziewiątej, wieczorne nabożeństwo.

Gdy teraz przeczytałam ten rozkład dnia, wygląda on tak, jakbyśmy między poszczególnymi punktami mieli bardzo wiele czasu. Niby tak, ale przecież my wszystko robiliśmy sami – każda z pięciu grup miała swoje obowiązki. Gospodarcza – gotowała i robiła część zakupów, liturgiczna – przygotowywała mszę, sprzątająca – zmywała naczynia po posiłkach i utrzymywała ogólny porządek wokół plebanii, „kościelna" – dbała o wystrój i czystość kościoła, „do specjalnych poruczeń" – czasem zbierała na plantacji truskawki (z tych zebranych co piąta kobiałka szła do naszej spiżarni), czasem agrest, a przede wszystkim była do dyspozycji księdza.

Zostałam. Bo chyba czwartego dnia stwierdziłam, że jest mi tu... bardzo dobrze, że jeszcze nigdy nie byłam w takiej harmonii ze sobą. To pragnienie zbliżenia się do Boga zbliżyło też bardzo nas – uczestników. W pewnym momencie stwierdziłam, że ci ludzie są naprawdę wspaniali, że można z nimi porozmawiać, powygłupiać się.

Każdy dzień rekolekcji poświęcony był jednej tajemnicy różańca, po Zmartwychwstaniu obchodziliśmy więc z bardzo dużym zaangażowaniem... lany poniedziałek. W lipcu! Gdyby ktoś tego dnia zajrzał przez płot i zobaczył, co się tam na plebanii dzieje, postukałby się zapewne w czoło. Bo my nie polewaliśmy się kubkami czy świnkami-dyngusówkami. W grę wchodziły ogrodowy wąż, wiadra i wielkie michy...

Później był Dzień Wspólnoty. Na wielkiej łące spotkaliśmy się z sześcioma innymi wspólnotami. Śpiewaliśmy, opowiadaliśmy jak u nas, słuchaliśmy jak u nich i było naprawdę dobrze, przyjaźnie. Zwłaszcza na wielkiej mszy, którą pod gołym niebem na tej łące odprawili razem wszyscy moderatorzy.

★ ★ ★

Wróciłam do domu zafascynowana „Oazą", ludźmi, którzy do niej należą. Teraz, kiedy minęło parę miesięcy, mam wrażenie, że znowu się od nich oddalam, że to wszystko staje się coraz bardziej obce. Stoję jakby na poboczu, ale... nie zmieniam drogi. Bo wędrując nią można przeżyć i zobaczyć tak wiele. Można zrozumieć, że trzeba nieść światło – Jego miłość i nadzieję – w życie.

Ilona Iłowiecka
korespondentka HSI „ŚM"
Szczecin

Fot. **J. Łopuszyński**

naftowych, które również można włączyć do zbiorku: 2652–2656.

Ignacy Łada Łukasiewicz
(8.03.1822 – 7.01.1882)

Jako pracownik apteki Mikulascha we Lwowie przeprowadził udaną destylację ropy naftowej, a z Adamem Bratkowskim skonstruował pierwszą lampę naftową – przy blasku takich lamp przeprowadzono 31 lipca 1853 r. we Lwowie pierwszą operację chirurgiczną.

W 1854 r. wspólnie z Tytusem Trzecieskim i Karolem Klobassą założył pierwsze na świecie „Towarzystwo wydobycia, przerobu i sprzedaży ropy naftowej" z kopalnią ropy w Bóbrce (w USA pierwszą tonę ropy wydobyto we wrześniu 1859 r.).

Łukasiewicz zakładał szkoły, ochronki, „kasę Bracką" – ubezpieczeniową, Towarzystwo Naftowe – był aktywnym działaczem gospodarczym i społecznym.

W czasie pobytu na ziemi krośnieńskiej warto obejrzeć nie tylko kopalnię ropy naftowej w Bóbrce, lecz także muzeum lamp naftowych w Krośnie, gdzie wiele eksponatów przedstawia życie i osiągnięcia Łukasiewicza. **(kg)**

Jeżeli wklejasz serię do zeszytu – pokryj klejem tylko to miejsce!

świat młodych

ZŁOTA OSTROGA

Autorka tego opowiadania ukryła się pod pseudonimem „Punka", opowiadanie zostało wyróżnione w tegorocznym konkursie literackim „ŚM"

Koty

Tego dnia wracałam ze szkoły z Kaśką. Zaczęłyśmy rozmawiać o kotach.

– Koty są fałszywe – stwierdziłam.

– Wcale nie. Są miłe.

– Duszą ludzi! Wiem od taty.

– Są bardzo miłe, miękkie ciepłe.

– Są parszywe i zapchlone! A w ogóle zamknij się – wrzasnęłam rozwścieczona. Kaśka już się nie odezwała.

W domu otworzyłam okno na oścież. Uff, trochę świeżegc powietrza! Nagle do uszu wdarł się nowy dźwięk – przeraźliwy miauk kota. Znów te koty! – rozzłościłam się i z furią zatrzasnęłam okno. Na szybie brzęknęła jakaś zapóźniona mucha. Niemal w tym samym momencie usłyszałam dzwonek. W drzwiach stały Iza i Magda.

– Cześć Aneta! Nie masz mleka!

– Mam, a bo co? – burknęłam.

– Tam na dole są cztery kotki – zaczęła Iza – czarny z krawacikiem, cały czarny, szary i rudy. Ktoś im zabił matkę. Już widzą, ale jeszcze źle biegają.

– I dobrze! Niech zdychają na dworze – stwierdziłam – dość tego parszystwa się już nalazło na nasze podwórko. Wiedziałam, że te słowa sprawią przykrość Izie, ale tata jej nigdy nie lubił...

Dziewczyny wyszły. Magda w drzwiach odwróciła się:

– Zmieniłaś się, odkąd twój tato...

– Zamknij się! Wynocha! – krzyknęłam z wściekłością.

Idiotki! Co one sobie myślą. Nie jestem kocią mamą. Usiadłam na fotelu, włączyłam radio. „Koty są to ssaki drapieżne, sprowadzono je do Europy..." Wyłączyłam je ze złością. Co oni, pogłupieli z tymi kotami? W kiosku pocztówki z kotami, w telewizji film o kotach, w radiu słuchowisko... nie. Mam tego dosyć. Wybiegłam z mieszkania przewietrzyć się. Na schodach spotkałam sąsiadkę – starszą panią z przeciwka.

– Dzień dobry, Anetko! Jak się masz? Właśnie wróciłam z zakupów. Kupiłam mleko dla tych kotków, mięsa. Zostały tylko dwa: szary i rudy. Tamte wzięły do domu twoje koleżanki, Iza i Kasia. Może zaniesiesz tym kotkom mleko?

Mgła przesłoniła mi oczy, wściekłam się nie na żarty.

– Niestety, spieszę się.

– A co ty taka czerwona? Może...

Reszty nie usłyszałam, zamknęłam się w mieszkaniu. Co oni z tymi kotami? – myślałam wzburzona. A Kaśka też mi przyjaciółka! Powinna stanąć po mojej stronie, a nie brać jakiegoś sparszywiałego kota. Usiadłam i zaczęłam czytać. Powoli się uspokoiłam. Książka była bardzo ciekawa, podobała mi się. Właśnie takie lubię. Gdy ją skończyłam, ogarnęła mnie ogromna ciekawość, co z tymi kotami? Faktycznie, były dwa. Tuliły się do siebie takie małe i drżące... stop! Nie rozczulać się nad tymi potworkami – pomyślałam. Czytam drugą książkę pt. „Kluska, Kefir i Tutejszy". Niestety w niej też był kot! Zniechęcona rzuciłam się na tapczan i zaczęłam łkać. Nikt nie wie, co działo się wtedy w moim sercu... Zasnęłam. Spałam w najlepsze, gdy przyszła mama.

– Cześć, córeczko.

– Cześć, mamciu.

– Anetko, wyrzuć śmieci.

Wzięłam kubełek i zeszłam na podwórko. Stał tam Jacek z kolegami.

– Wiecie, wezmę tego szarego. Ładniejszy i większy. Chodź, szary. Dostaniesz mleko...

Schylił się i podniósł szarego kociaka. Ze złości na Jacka (jak mógł wziąć tego kota?!) trzasnęłam kubłem najmocniej jak mogłam i wybiegłam z podwórka. Jacek patrzył za mną zdziwiony.

– Co jej jest?

– Od śmierci ojca jest taka, taka... dziwna.

– Usłyszałam te słowa – na naszym podwórku dobrze się głos niesie, ale nic nie odpowiedziałam.

– Widziałaś te kotki, Anetko? – spytała mama.

– Tak, ale już został jeden, rudy.

– Wiesz, to go może weźmiemy? – zastanawia się mama.

– Nie! Mamo, nie znoszę, nie cierpię, nienawidzę kotów! Są zapchlone, obskurne, brudne i w ogóle. Tata też ich nie lubił! – krzyczałam z wściekłością.

– Ale tata już od ponad czterech miesięcy nie żyje!

– I co z tego? Ale ja żyję!

Mama weszła do łazienki. Wiedziałam, że sprawiłam jej dużą przykrość i że płacze. Cieszyłam się z tego. Niech ma, niech wie! Jeszcze mnie popamięta!

Mama wyszła z łazienki z zapuchniętymi od płaczu oczami, ale nic nie mówiła. Popołudnie minęło w ciszy, kolację zjadłyśmy w milczeniu. Za oknem zapadł zmrok, wszedł księżyc, jak wielki, gruby pan ze swoją gwiezdną świtą. Nagle poczułam się samotna. Wyszłam na podwórko, na palcach zbliżyłam się do pudła. Może tego kota już nie ma! Nie, był! Poruszył się i miauknął. Był taki sam i bezradny... oczy zaszły mi łzami, uniosłam kocię w górę, przytuliłam do siebie rude futerko. Kotek wczepił się we mnie pazurkami, serce biło mu równo i spokojnie. Wokół była noc,ciepła noc. Już nie płakałam...

„Punka" (14 lat)

„TELEWIZJA NOCĄ"

Gromada zbo-czeńców?

To zdarzenie miało miejsce w moim ogólniaku kilka dni temu. Gośka (imię zmienione) z klasy trzeciej przyniosła na lekcję przysposobienia do życia w rodzinie czasopismo związane ze sprawami seksu. W imieniu całej klasy poprosiła profesora, aby wspólnie z nimi przedyskutował treść tych artykułów.

W tym miejscu muszę przerwać moje opowiadanie, aby opisać Wam, jak przebiega u nas typowa lekcja Przysposobienia do Życia w Rodzinie. Otóż pan profesor (lat około 40) raz na dwa tygodnie wmawia nam przez 45 minut, że:

- wszyscy jak jeden mąż jesteśmy źle wychowani;
- gnębimy psychicznie naszych rodziców a dziadków terroryzujemy i grozimy im „zsyłką" do tzw. domów starców;
- to, czego słuchamy, to nie muzyka, lecz jakieś „łubudubu";
- nasze matki poją niemowlęta alkoholem (aby spały 24 godziny na dobę);
- ojcowie są despotami.

Od czasu do czasu pan profesor zmienia temat i mówi, że musimy zaspokoić wszystkie potrzeby naszych dzieci. Pewnie uważa, że jeśli nie jesteśmy jeszcze nieletnimi rodzicami, to na pewno wkrótce będziemy.

Możecie się już domyślić, jaka była reakcja nauczyciela na wystąpienie dziewczyny. Profesor, który dotąd dość zręcznie omijał „zakazany temat", znalazł się w trudnej sytuacji. W pierwszej chwili po prostu skrzyczał dziewczynę i uznał klasę za... gromadę zboczeńców! Następnie udał się na skargę do dyrekcji.

Klasa, wiedząc co oznacza taka skarga, wstawiła się za Gośką, mówiąc że oni wszyscy byli inicjatorami, a Gośka jedynie osobą wyrażającą ich wspólną prośbę. Nie pomogło. Gośka samotnie zostanie „pociągnięta do opowiedzialności". Wisi nad nią miecz Damoklesa – groźba wyrzucenia ze szkoły.

Może się to wyda niewiarygodne, ale w tym roku jeden chłopak już wyleciał – pokłócił się z nauczycielem.

A ja nie podpiszę się pod tym tekstem. Ze strachu. A nuż mnie wyrzucą?! **PI**

Teraz pozwalam sobie (bez jej wiedzy) zacytować słowa, które autorka listu przeznaczyła wyłącznie dla mnie. Jej imienia jednak nie zdradzę!

„Jeszcze jeden przykład na to, jak staroświecka jest nasza szkoła. Starałam się opisać to zdarzenie możliwie wiernie. Cała szkoła jest nim poruszona. Tym bardziej, że Gośka jest wspaniałą koleżanką. Nadzieja tylko w profesorze, którego Gośka jest oczkiem w głowie. Na pewno się za nią wstawi.

Może mój tekst będzie początkiem rubryki o szkolnych problemach? Boję się tylko, żeby nie rozpoczął gazetowego wydania „Telewizji nocą". A tego chyba nikt nie chce?"

Wcale nie byłabym tego taka pewna. **(kos)**

PS. **Zdjęcia zrobiono w zupełnie innej szkole.**

Fot. **M. Szymański**

Nie przyspieszajmy końca świata!

Uczeni „pocieszają" nas, że naturalna śmierć Ziemi wskutek zgaśnięcia Słońca nastąpi dopiero za 4–6 mld lat. Ale przecież przypływy morskie, hamujące obrót planety, mogą doprowadzić do zagłady 8–12 razy szybciej. I my sami, planując na dużą skalę budowę elektrowni pływowych, staramy się przyspieszyć tę katastrofę...

Przypływy są skutkiem przyciągania Księżyca i Słońca oraz wirowania Ziemi wokół osi. Tworzą się tzw. garby przypływowe, większy po stronie Księżyca, mniejszy po przeciwnej stronie planety. Garby te działają jak klocki hamulcowe – spowolniają wirowanie Ziemi. Wskutek tarcia wody o powierzchnię pewna część energii kinetycznej obrotów planety w strefie przypływów przekształca się w energię cieplną, ulegającą rozproszeniu w kosmosie. Drugim efektem tego hamowania jest wydłużenie doby ziemskiej o 0,0015 s w ciągu stu lat, a więc o 1 godzinę na 240 mln lat. Być może nie pociągnie to za sobą żadnych negatywnych skutków, jednak im dłuższa doba – tym dłuższa noc, a przy dłuższych nocach bywają dłuższe przymrozki. Ich narastanie może spowodować lawinowy proces zlodowacenia lądów i stopniowe wyginięcie flory i fauny. Przy wydłużeniu doby o 2 godziny (za prawie pół miliarda lat) życie na Ziemi stanie się niemożliwe. A przecież, jak wykazały badania, jeszcze przed 400 mln lat doba trwała 22 godziny – to były złote czasy dla fotosyntezy...

Budując elektrownie pływowe przyspieszamy opisane wyżej hamowanie. Elektrownie takie – o czym już pisaliśmy w „ŚM" – gromadzą wodę z przypływów i zatrzymują ją do momentu, kiedy odpływ osiąga maksimum. W naturalnych warunkach woda odpływa stopniowo. Zmagazynowana w zbiornikach elektrowni, będąc cały czas pod wpływem przyciągania Księżyca, powoduje dodatkowe zwolnienie obrotów Ziemi.

Radziecki naukowiec inż. Anatol Mudriecow wykonał uproszczone obliczenia tego procesu, zakładając, że Ziemia jest jednorodną kulą. Obliczył energię kinetyczną jej wirowania, odjął projektowaną moc elektrowni pływowych – 400 tys. MW i określił, za jaki czas doba wydłuży się o 2 godziny. Wynik? – 68 mln lat. Przyjęcie Ziemi jako kuli dwuwarstwowej (jądro + płaszcz) zmniejsza moment bezwładności, a więc skraca ten okres. A Ziemia składa się z wielu warstw, co najmniej pięciu...

Inż. Mudriecow przesłał swoje wyliczenia do oceny kompetentnym specjalistom kilku instytucji naukowych. Cytujemy odpowiedź, otrzymaną z Akademii Nauk ZSRR:

„Pański list z 12 marca 1985 r. został rozpatrzony przez Instytut Fizyki Ziemi Akademii Nauk ZSRR. Zgadzamy się, że elektrownie pływowe o maksymalnej mocy mogą wpłynąć w znaczący sposób na prędkość wirowania Ziemi. Jednak nikt nie zamierza wykorzystywać ich tak długo, zapewne już za kilkadziesiąt lat zostaną wyparte przez elektrownie nowego typu, np. termojądrowe. Dlatego też elektrownie pływowe nie powodują realnego niebezpieczeństwa dla rozwoju cywilizacji."

Istnieje wiele spraw, których obawia się ludzkość. Zbyt często „zwycięstwo nad przyrodą" pociąga bolesne następstwa. Czy nie należy więc nieco więcej uwagi poświęcić ostrzeżeniom, zwłaszcza opracowanym we właściwym czasie?

Nadmiar dwutlenku węgla w powietrzu wywołuje „efekt szklarniowy" – ocieplenie klimatu. Inaczej mówiąc, konieczne jest zmniejszenie zużycia węgla, ropy naftowej i gazu jako paliw, przejście na wykorzystanie innych źródeł energii: Słońca, wiatru, ciepła Ziemi i oczywiście pływów morskich.

Myślę jednak, że możemy spać w miarę spokojnie, bo nie wybuduje się chyba aż tylu elektrowni pływowych, żeby znacząco wpłynęły one na obrót Ziemi...

(kag)

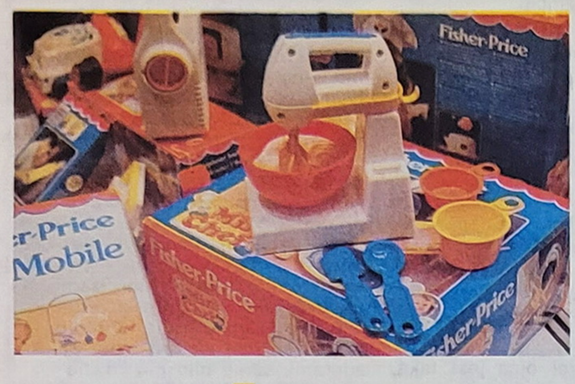

COŚ DLA 10 MILIONÓW

Czy zdajecie sobie sprawę, ile Was jest? Obywatele do lat 15 stanowią w Polsce ponad 25% ogółu ludności, czyli mniej więcej 10 milionów! W naszym kraju rodzi się rocznie niemal – 700 tysięcy dzieci. Dzieci, jak wszyscy ludzie, potrzebują butów, ubrań, mądrych zabawek, odpowiednich kosmetyków. Tymczasem, gdy wchodzi się do jakiegokolwiek krajowego sklepu, odnosi się wrażenie, że obywateli do 15 lat w Polsce po prostu nie ma. Nie są przewidziani i już!

Kurtek na zimę nie ma, botków ocieplanych nie było od ubiegłej zimy, pasta do zębów z fluorem, dla dzieci, była wczoraj, ale już wykupili. A jak jest z zabawkami, sami wiecie najlepiej.

Dlatego też podczas wystawy „Wszystko dla dziecka", na której gapiliśmy się jak zauroczeni na kolorowe gabloty, prezentowały swoje wyroby renomowane firmy zagraniczne. Czegóż to ludzie w wielkim świecie nie wymyślą?! Były tam i nożyczki do paznokci, którymi nie sposób się zaciąć, i talerze, w których zupa nie stygnie, i praktyczne małe szczoteczki do mycia smoczków dla niemowląt.

Firma JORDAN prezentowała najlepsze na świecie szczoteczki do zębów o ściśle określonej liczbie pęczków włosia i długości odpowiedniej do wieku dziecka. „Świat rośnie na GERBERZE" – to hasło reklamowe amerykańskiego koncernu produkującego żywność dla dzieci. Tony zamkniętych w słoiczkach dań kupowane są na całym świecie, w reklamie nie ma więc wiele przesady. A menu, palce lizać! Puré marchewkowe, szynka przecierana z warzywami, a do tego deser bananowy, porzeczkowy albo ananasowy. Nawet największy niejadek nie pogardziłby takim obiadkiem!

Przy gablocie z zabawkami firmy FISHER PRICE o mały włos nie oniemieliśmy z wrażenia. Wystawione były, co prawda, przede wszystkim zabawki przeznaczone dla niemowląt i przedszkolaków, ale to nam zupełnie wystarczyło. Pomysły, kolory i jakość zabawek mogą zawrócić w głowie. Z klocków da się zbudować dosłownie wszystko, na magnetofon-zabawkę można nagrać własną piosenkę, można też pobawić się w dziennikarza przeprowadzającego wywiady.

Któż z nas nie marzy o ładnych ciuchach?! Oglądając wystawę przekonaliśmy się, że kolorowe dresy, sportowe buty, lekkie kurteczki, a nawet eleganckie sukienki uszyć można również dla dzieci i młodzieży. Można, ale nie u nas...

Wystawa była ofertą handlową, niestety, głównie dla PEWEX-u. Zagranicznych producentów, póki co, w zasadzie nie interesują transakcje złotówkowe. Mamy jednak coś na otarcie łez dla tych, którzy nie dysponują dolarami od cioci z Ameryki. Wystawę oglądali razem z nami pediatrzy, pedagodzy, a także krajowi producenci i handlowcy. Jest nadzieja, że podpatrzone zostaną jakieś pomysły i wzory, zawarte transakcje wymienne. Marne to pocieszenie, ale zawsze jakaś szansa, że znajdziemy się choć o kilka centymetrów bliżej świata. **(jz)**

Fot. **J. Łopuszyński**

Mój żelazny temat

Mój żelazny temat, do którego wracam co roku zimą, to zachęta do uprawy zielonych warzyw przy oknie w domu, czyli inaczej do „pędzenia warzyw" jak mówią ogrodnicy.

Na przedwiośniu, kiedy nasze organizmy wyczerpały zapasy witamin, warto sposobem domowym przyspieszyć warzywa, które zimują w formie cebul i zapasowych korzeni. Zielone listki cebuli, szczypiorku lub pietruszki są bogatym źródłem witamin i soli mineralnych. Posiekane i położone na kanapki dodają apetycznego wyglądu, zachęcają niejadków do jedzenia i stanowią ozdobę stołu.

Najprościej jest pędzić cebulę, czosnek, pietruszkę i selery, bo te rośliny są zawsze w sprzedaży w sklepach z warzywami. Do pędzenia wybieramy drobne cebule i korzenie, ponieważ te łatwiej pomieścić w naczyniach i szybciej one wyrastają w pędy. Przy zakupie pietruszki lub selerów trzeba zwrócić uwagę, by u szczytu korzenia były resztki nati, z której wyrosną nowe pędy. Jeśli korzenie ogłowione są zbyt nisko i brakuje wierzchołka wzrostu, liście nie wyrosną. Jeśli ziemia nie jest zamarznięta, można łatwo wykopać w ogródku i przenieść do domu kępy szczypiorku do pędzenia. Jeszcze lepiej jest takie kępy szczypiorku przygotować latem w skrzynkach lub doniczkach, by mieć je gotowe do przyspieszonej uprawy. Smakowitym warzywem są główki pędzonej cykorii, które zimą można kupić w sklepach, niestety po słonej cenie. Aby uzyskać sposobem domowym główki cykorii, trzeba o tym pomyśleć prawie rok wcześniej, w kwietniu i w maju, kiedy jest pora na siew cykorii do gruntu. Nasiona można nabyć w sklepach.

Naczyniami do pędzenia mogą być skrzynki balkonowe, obszerne doniczki, gliniane miski, plastykowe pojemniki z otworem w dnie, a nawet stary, dziurawy garnek. Dziura w dnie jest w tym przypadku bardzo pożyteczna, wręcz konieczna, dla odprowadzenia nadmiaru wody. Naczynia trzeba wypełnić podłożem, którym może być ziemia ogrodowa, piasek, torf, mieszanka torfu z piaskiem lub wilgotne trociny.

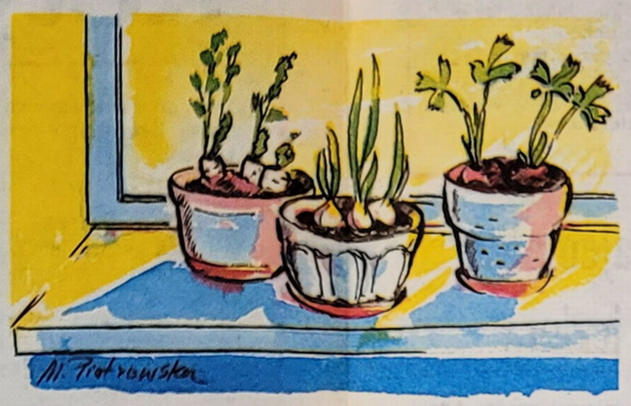

Uprawa zieleniny w skrzynce przy oknie

Cebule i korzenie sadzimy w podłoże ciasno obok siebie. Podłoże ma im zapewnić wilgoć i dostatek wody. O pokarmy nie potrzebujemy się martwić, gdyż wyrastające liście będą je czerpać z zapasów zgromadzonych w cebuli lub korzeniu. Najładniejsza zielenina wyrośnie wówczas, jeśli po posadzeniu roślin podlejemy je obficie i postawimy w temperaturze umiarkowanej 10-15°C, a po tygodniu przeniesiemy do mieszkania na parapet okienny. Temperaturę umiarkowaną możemy roślinom zapewnić ustawiając początkowo pojemniki w piwnicy. Można posadzone cebule i korzenie umieścić prosto w mieszkaniu, na parapecie okiennym, lecz plon liści będzie nieco niższy. Parapet okienny lub półka obok okna jest doskonałym miejscem do pędzenia wszystkich roślin z wyjątkiem cykorii. Cykorię pędzimy w całkowitej ciemności, by główki były delikatne i smaczne. Cykoria ma takie osobliwe wymagania. Korzenie trzeba posadzić do głębokich skrzynek i przykryć warstwą piasku. Początkowo przechowywać w temperaturze 10-15°C, a później przenieść do temperatury pokojowej. Taki sposób pędzenia zapewni wyrastanie główek ścisłych, ładnych i smacznych.

Pędzone rośliny poza regularnym podlewaniem nie wymagają żadnych zabiegów. Szczypior i natkę ścinamy w miarę jej odrastania.

ZIELONA POCZTA

Nowa porcja listów z rozpaczliwym wołaniem – ratujcie, bo opadają liście z cytryn i pomarańczy. Kilka listków znalazłem w kopertach. Obejrzałem je dokładnie. Nic na nich nie ma. To utwierdza mnie w przekonaniu, że liście opadają z powodu suchego powietrza w mieszkaniu i nadmiaru ciepła. Powinno być zimą najwyżej 10°C, a jest 20°C. Proponuję ustawić cytrusowe jak najbliżej szyby i zraszać je wodą przynajmniej raz dziennie.

(am)

Rys. **M. Piotrowska**

Olimpiada - 2004 w Berlinie?

Z projektem zorganizowania w Berlinie igrzysk olimpijskich Anno Domini 2004 wystąpił dwa lata temu były prezydent USA Ronald Reagan. Ale ówczesna sytuacja polityczna nie sprzyjała jeszcze tego typu inicjatywom i wniosek nie doczekał się szerszego poparcia. Identyczną propozycję wysunął niedawno następca Reagana – George Bush, który zwrócił się do Michaiła Gorbaczowa z wnioskiem, by Stany Zjednoczone i Związek Radziecki poparły tę ideę.

Berlin był już stolicą igrzysk w roku 1936. Olimpijskiej rywalizacji towarzyszyła wówczas nazistowska propaganda, a Hitler chciał udowodnić światu wyższość germańskiej rasy także na stadionach.

Igrzyska w roku 2004 mogłyby odbywać się we wszystkich zakątkach podzielonego obecnie miasta. Działacze sportowi NRD i Berlina Zachodniego pozytywnie wyrażają się o takiej koncepcji „olimpiady pokoju", a MKOl. zachowuje całkowitą neutralność. Warto dodać, że olimpijskie władze opracowały już projekt, który zakłada organizację igrzysk przez np. dwa sąsiadujące kraje. Koncepcja ta pasuje idealnie do pomysłu przyznania organizacji zawodów spod znaku pięciu kół właśnie podzielonemu Berlinowi. Kandydatury na stolice igrzysk 2004 można zgłaszać do roku 1995.

Najbliższa letnia olimpiada rozegrana zostanie w Barcelonie (1992), a o organizację następnej ubiegają się: Ateny, Atlanta, Belgrad, Manchester, Melbourne i Toronto.

Uwaga na Afrykę i Azję

Do niedawna uważano, że europejscy piłkarze są dla afrykańskich i azjatyckich partnerów niezwykle trudni do pokonania. Czasy się jednak zmieniają, poglądy również. Czarnoskórzy i żółci futboliści grają coraz lepiej i chyba niebawem dorównają Europejczykom. Piłka nożna w wykonaniu przedstawicieli „Czarnego Lądu" oparta jest na wzorach „Starego Kontynentu"; w wielu afrykańskich zespołach pracują przecież trenerzy z Europy. Efekty ich szkolenia zapewne zobaczymy podczas najbliższego mundialu.

Słynny piłkarz brazylijski Pele – na zdjęciu (zdobył w swojej dwudziestoletniej karierze 1281 goli) ostrzega przed reprezentantami Afryki i Azji także swoją narodową drużynę. Ten znakomity fachowiec zapewne nie rzuca słów na wiatr. Przecież młodsi juniorzy (do lat 16) Nigerii zostali ostatnio mistrzami świata, a Arabia

Saudyjska i Emiraty Arabskie wielokrotnie zwyciężały jedenastki z Europy. Coraz lepiej radzą sobie też zawodnicy z Kamerunu, Korei Południowej i Egiptu. Ich występy na włoskich stadionach podczas MŚ wzbudzają już spore zainteresowanie i należy przypuszczać, że potentaci będą musieli się mocno napracować, aby pokonać te egzotyczne drużyny. W wielu dyscyplinach czarnoskórzy i skośnoocy sportowcy przegonili europejskich rywali. Bardzo możliwe, że podobnie stanie się w piłce nożnej.

Fot. **CAF**

„Carmen na lodzie"

Taki tytuł nosi film (produkcji RFN), w którym akcja operowego arcydzieła przeniesiona została na lodową taflę. Główne role powierzono najlepszym łyżwiarzom na świecie: Katarzynie Witt (NRD) – dwukrotnej mistrzyni igrzysk olimpijskich, Brianowi Boitano (USA) i Brianowi Orserowi (Kanada) – także medalistom olimpijskim. Premiera tego, podobno rewelacyjnego, filmu odbędzie się niebawem.

Jego producent, Thomas Buerger, pragnie pokazać swoje dzieło pod... Bramą Brandenburską w Berlinie. Na widowni Buerger chce widzieć obywateli z obu części miasta. Na to jednak jest wymagana zgoda władz NRD.

Warto przypomnieć, że Katarzyna Witt, na zdjęciu, jest jedną z pierwszych gwiazd sportowych naszych zachodnich sąsiadów, która przeszła na zawodowstwo i na profesjonalnych lodowiskach

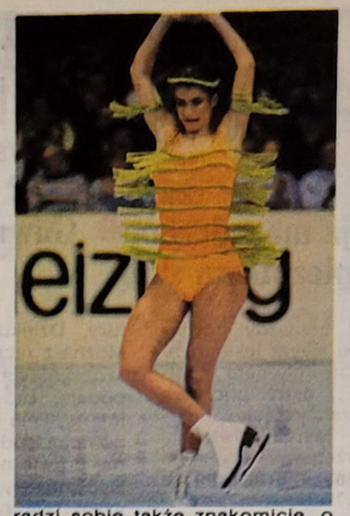

radzi sobie także znakomicie, o czym świadczą jej pierwszoplanowe role w przeróżnych rewiach, a ostatnio w filmie.

Fot. **archiwum**

Kolej na bokserów

Radzieccy zawodnicy coraz częściej dostają od swoich władz sportowych zgodę na występy w profesjonalnych zespołach. Grają oni obecnie w zawodowych drużynach hokejowych ligi kanadyjsko-amerykańskiej i najsłynniejszych jedenastkach piłkarskich. Na zarobek wyjechało też kilku koszykarzy, a ostatnio walizki zaczynają pakować także bokserzy. Udają się oni do Japonii, gdzie zadebiutują na profesjonalnym ringu. Zgodnie z porozumieniem radziecko-japońskim pięściarze ZSRR staczać będą w Tokio po kilka walk rocznie (przez 4 lata).

Już niebawem do Japonii uda się czterech znakomitych bokserów: Aleksander Miroszniczenko, Orzubek Nazarow, Ramzam Siebijew i Jurij Arbaczakow. Ten ostatni, przypomnijmy, był niegdyś mistrzem świata amatorów i twierdzi, że w swojej wadze (muszej) stać go na championat także w gronie zawodowców.

Decyzja FIFA

Działo się to podczas meczu Brazylia – Chile (eliminacje do MŚ we Włoszech). W 69 minucie spotkania, przy stanie 1:0 dla gospodarzy, obok bramkarza chilijskiego Roberto Rojasa wybuchła petarda, którą rzucił siedzący na trybunach kibic. Rojas upadł na murawę boiska, na jego koszulce pojawiły się czerwone plamy. Goście, na znak protestu, opuścili boisko i odmówili dokończenia pojedynku. Sądzili, że FIFA (Międzynarodowa Federacja Piłkarska) przyzna im zwycięstwo walkowerem, co stanie się równoznaczne z awansem do finałów mistrzostw świata.

Szczegółowe śledztwo, które wszczęto natychmiast po incydencie, wykazało, że Rojas wcale nie został zraniony, ale posiadał koszulkę... specjalnie spreparowaną, która wyglądała jak poplamiona krwią. Ten „numer" został w czasie przerwy zaplanowany przez trenera i obecnych na stadionie działaczy piłkarskich Chile. FIFA srogo ukarała reżyserów i aktora sportowej farsy. Rojas został zdyskwalifikowany dożywotnio. Ten sam los spotkał prezydenta piłkarskiej federacji Chile – Sergo Stoppela i lekarza drużyny – Daniela Rodrigueza (za sfałszowanie zaświadczenia lekarskiego). Trener reprezentacji, Orlando Aravena, ukarany został zakazem piastowania funkcji szkoleniowca przez 5 lat.

SPORT • SPORT • SPORT • SPORT

EKRAN SM

WILLOW

Ho, ho – pomyślałam, gdy w repertuarze ubiegłorocznych Konfrontacji Filmowych (w kwietniu) znalazłam tytuł filmu Rona Howarda – nareszcie sprowadziliśmy absolutną nowość! Europejska premiera tego amerykańskiego filmu była wydarzeniem zaledwie przed paru miesiącami – i efektownym zamknięciem sezonu '88. Wreszcie powstał wybitny film z gatunku *fantasy*, film z rodzaju tych, które żadnego widza nie pozostawiają obojętnym, prawdziwy film uczuć i emocji – dobrze, że znalazły się pieniądze na jego zakup!

Niestety, na szerokie rozpowszechnianie tego obrazu trzeba jeszcze było poczekać kilka długich miesięcy. Aż do minionych niedawno Świąt. No cóż, taki film to idealna choinkowa niespodzianka, z drugiej jednak strony, zbyt wielu widzów zdążyło go „zaliczyć" na wideo. A mały ekran niestety „morduje" ten niezwykle piękny, wręcz wyrafinowany plastycznie utwór. Dlatego też bardzo namawiam wszystkich czytelników: odżałujcie – choć dziś to poważne kwoty – na bilet do kina, by obejrzeć „Willow" naprawdę!

Przed 15 laty George Lucas, przygotowując się do nakręcenia „Gwiezdnych wojen" zainteresował się poważnie literaturą *fantasy* – światem legend, mitów i magii z kresu wyobraźni, historiami dziejącymi się w czasie, którego nigdy nie było, w miejscach, które nie istniały. Sam wymyślił taką opowieść – to był szkic przyszłego filmu.

Ten film jednak nie mógł wtedy zostać nakręcony. Po to by powstał, nieodzowne były doświadczenia wyniesione z produkcji, za klasykę dziś uważanej „trylogii gwiezdnej", „Poszukiwaczy zaginionej arki" i wielu jeszcze innych znanych Wam obrazów zaskakujących tzw. efektami, niebywałą perfekcją techniczną. By mógł zaistnieć na ekranie świat karła z plemienia Nelwynów – Willowa, musiała też powstać słynna produkcyjna firma Lucasa „Light and Magic" – zatrudniająca najwspanialszych rzemieślników, których śmiało można nazwać czarodziejami kina – mistrzów na miarę XXI wieku!

Nie będę Was męczyć słynnymi nazwiskami z czołówki „Willowa" - jest ich bardzo wiele. To mistrzowie scenografii, charakteryzacji – kostiumologowie i dekoratorzy przede wszystkim a także dźwiękowcy, pirotechnicy i... elektronicy. O kształcie tej historii zadecydowali jednak ostatecznie trzej ludzie: George Lucas, który stworzył szkic scenariusza, znany autor Bob Dolman, który ten scenariusz oszlifował, no i reżyser – Ron Howard, który zajął się realizacją filmu – przydał fascynującym wydarzeniom ciepła i ludzkiego wymiaru, choć biorą w nich udział przecież tłumy najfantastyczniejszych istot.

Przyzwyczajeni do najróżniejszych, zdumiewających postaci filmów fantastycznych zostaliśmy przez twórców filmu autentycznie zaskoczeni wyobrażeniem Nelwynów – plemienia zamieszkującego lasy i zajmującego się wyrębem, uprawą roli i odrobiną magii. Aby „stworzyć" to plemię reżyser zatrudnił w filmie 225 karłów! Nie znalazł tylu w Anglii. Jak dziś żartobliwie wspomina – ściągnął posiłki dla Willowa aż z Holandii, Niemiec, Belgii, Włoch, Hiszpanii i Irlandii. Wiele z zaangażowanych przez niego osób nie miało pojęcia o aktorstwie, wiele nigdy nie było w Londynie – a co gorsza – nie znało zupełnie języka angielskiego. Specjalnie dla tych Małych Ludzi dekoratorzy wznieśli oryginalne leśne osiedle. Każda chata została wyposażona w sprzęty harmonizujące z gospodarzami nie tylko proporcjami, ale również stylem. Wszystko wykonane zostało z korzeni i gałęzi. Nie sposób nie wierzyć w istnienie takiego plemienia, gdy obserwujemy na ekranie ich życie, pracę i wypoczynek.

Z tym spokojnym ludkiem sąsiadują wojowniczy i skłóceni między sobą Daikinowie – oni są niestety najbardziej podobni do zwykłych ludzi. A poza nielicznymi wyjątkami, nie czujemy do tej nacji specjalnej sympatii... Są też skrzaty wielkości polnych koników, grane przez żywych aktorów, rysunkowe elfy, olbrzymia, eteryczna wróżka, dobra czarodziejka, która wciąż się przeistacza w różne zwierzęta, i czarownica, czyli Bavmorda – Królowa Zła. Wszystkie te postacie są ucharakteryzowane ponoć zupełnie nowatorskimi metodami – jakimi, trudno zgadnąć – ale doskonale. Wszystkie mają też oryginalnie zaprojektowane stroje. Były one sprowadzone z magazynów znajdujących się dosłownie na różnych krańcach świata. Sztuka filmowa dziś stała się kunsztem, który nie zna granic. „Zagrało" więc w „Willowie" sześć ton oręża i kilka wagonów szmatek. Dla potrzeb zdjęć bitewnych wytresowano specjalnie 150 koni, do kluczowej sceny zaś wynajęto aż 200 świń!

Osobny rozdział pracy nad tym filmem – to scenografia. Plenery kręcono w angielskim wiejskim pejzażu, na wrzosowiskach północnej Walii, a także wśród lodowców Nowej Zelandii. Niektóre z tych miejsc były zupełnie niedostępne. Aktorów biorących udział w kręconych tam scenach trzeba było transportować helikopterami.

Świadomie unikam streszczania fragmentów choćby tej pięknej baśni. Mogę tylko powiedzieć, że jak zwykle Dobro walczy w niej ze Złem i... Nie! – finał historii Willowa, maleńkiej, błękitnookiej Elonory, Madmartigana, Sorshy, Bavmordy i... dwugłowego, ziejącego ogniem smoka (majstersztyk pirotechników i elektroników) poznajcie sami! To film prosty, nieskomplikowany jak mit, jak legenda z zamierzchłej przeszłości, a kolorowy i wyrafinowany w rysunku, jak najdoskonalszy komiks! Miłych wrażeń!

EWA BIELSKA

PTASIA ZIMA

● Wyśpiewały... zimowe zawieruchy? ● Śnieg nie sprzyja maruderom ● Gawronom ciepło - drapieżnikom suto

Można bez przesady powiedzieć, że ptaki swym jesiennym śpiewem wyśpiewały nam w minionym roku... ostry początek zimy. Czy rzeczywiście intensywny śpiew jest zapowiedzią takiego jej przebiegu, czy kryje się za tym jakaś przyrodnicza prawidłowość? Trudno powiedzieć, można natomiast sądzić, że ciepła jesień – a taką była miniona, przynajmniej do października – sprzyja skrzydlatym śpiewakom. Mamy szansę w klubie bliżej zbadać to zjawisko, wzbudziło ono bowiem spore zainteresowanie ptakolubów. Już styczeń, a ciągle przychodzą dane o jesiennych śpiewach.

Obszerną relację nadesłał **Adam Kuńka z Opola**. Nasz korespondent podaje, że podczas minionej jesieni i dwóch, trzech poprzednich słyszał śpiew lub stwierdził zachowanie godowe u 27 gatunków ptaków. Wymienia je po kolei, przedstawiając szczegóły zachowania ptaków, m.in. w zależności od pogody i temperatury. Dziękujemy za te dane. Można z nich wyciągnąć pewne szczegółowe wnioski. Np. autor podaje, że poprzedniej jesieni intensywnie śpiewały skowronki polne, a podczas właśnie minionej prawie nie było ich słychać. Być może wiąże się to z szybszym tym razem, niż w latach poprzednich, odlotem wielu ptaków, także i skowronków. Z wyjaśnieniami meteorologicznymi i klimatycznymi takich zjawisk należy być co prawda ostrożnym, ale nie jest wykluczone, że tym razem ów wczesny odlot i towarzysząca mu niby godowa krzątanina stanowiła zapowiedź ostrej zimy.

Adam wśród jesiennych „weselników" wymienia też ptaki mocno u nas związane z zimą, i to nie tylko z nazwy. *„Dwa zimorodki uganiały się za sobą z głośnymi piskami, następnie jeden wydał głos, który słyszałem pierwszy raz, mimo że zimorodki obserwuje dość regularnie. Brzmiał on jak seria szybko powtarzanych gwizdów. Odchodząc, usłyszałem znowu odgłosy gonitwy. Sądząc z opisu w „Ptakach ziem polskich" Sokołowskiego, były to zaloty zimorodków, podobne do tych, które uprawiają wróble czy dzierlatki. W tym miejscu para zimorodków przebywała przez cały rok, także w sezonie lęgowym, a jesienią można tu było spotkać nawet 5 ptaków na niewielkiej przestrzeni (Park Bolko w Opolu, Kanał Wiński)."*

Co do przyspieszonych przelotów, to Adam spotkał się w minionym roku z takim zjawiskiem u siewkowatych; ich najintensywniejszy przelot obserwował już w lipcu.

Wydaje się, że nieco wcześniej niż zwykle przyleciały na przezimowanie ptaki krukowate. Potwierdza to swym listem i zawartymi w nim danymi **Marcin Pisula z Kolbud w woj. gdańskim.** Zaobserwował on przelot stad 18 października. Zwykle intensywny przelot tych stad widujemy dopiero po 20. tego miesiąca.

Forpoczta widziana przez Marcina liczyła ok. 200 osobników, ale... *„Następnego dnia stado powiększyło się już do około 2 tys. osobników. Gdy przyszedłem na miejsce ich noclegu, wprost oniemiałem. Wszystkie drzewa na obszarze ok. 2 km² były oblepione masą czarnych ciał. Nie dość tego – ze wschodu i zachodu przyleciały dwa mniej więcej takie same stada i również chciały tu zanocować. Niestety, pojemność noclegowiska wyczerpała się i połączone stada odleciały na zachód..."*

Nasz korespondent uczynił na temat krukowatych pewne ciekawe spostrzeżenia, związane z pogodą. *„W ubiegłym roku w ogóle nie było śniegu, zaś teraz (23 listopada) spadł, więc zmieniły się zwyczaje krukowatych. Nie zbierają się już one przed noclegiem, lecz od razu lecą na nocleg owisko. Związane jest to prawdopodobnie z dostępnością pokarmu. Było go w bród, gdy nie było śniegu. Teraz zaś ptaki muszą się dobrze nalatać i napatrzeć, by coś zjeść. Więc nic dziwnego, że tak im spieszno po trudnym dniu spokojnego odpoczynku..."*

Miejsce nocowania krukowatych stanowią – jak niedawno wspomnieliśmy – magnes dla drapieżników, które na dobrą sprawę mogą traktować te noclegownie jako spiżarnię na całą zimę. Przykład znajdujemy w liście naszego nowego korespondenta, **Pawła Jędrzejewskiego z Gozdowa w woj. konińskim.** *„W miejscowości, w której mieszkam, znajduje się nieduży zagajnik. Jest to miejsce nocowania olbrzymiego stada gawronów i kawek. Od około dwóch lat obserwuję w tym zagajniku parę jastrzębi. W jesieni i zimie polują one przeważnie na gawrony, kawki i gołęb e... Innym ptakiem, którego obs rwowałem w tym lasku, jest puszczyk. Poluje on na sikory i wróble. Raz znalazłem oskubanego paszkota. Niestety, nie wiem, który z drapieżników go upolował."* Zwracam uwagę, że puszczyk rezydujący w lasku mógł chwytać nie tylko wróble czy sikory, ale też większe ptaki – np. paszkoty czy kawki. W ogóle – radzę naszemu korespondentowi obserwować pilnie to miejsce.

O skrzydlatych drapieżnikach i ich jesienno-zimowych polowaniach nadeszło już sporo listów. To odzew na nasz niedawny klubowy artykuł o tych ptakach. Ta grupa ptasia wciąż budzi szczególne zainteresowanie. Miejmy nadzieję, że ptakoluby... upolują ciekawe szczegóły z ich polowań. Nie zapominając jednak przy tym o innych ptakach!

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**

UŚMIECH NUMERU

TATA pyta Mądralę:
– Czy jest w waszej klasie chłopak lepszy od ciebie?
– Niestety, jest: Iksiński! – wzdycha Mądrala. – On znacznie lepiej potrafi ruszać uszami...

★

MAMA pyta Mądralę:
– Dlaczego masz takie spuchnięte ucho?
– A... To przez Iksińskiego...
– Uderzył cię?!
– Nie, telefonował...

Tajemnica jeziora

W południowej części Ałtaju, na wysokości 1485 m n.p.m. znajduje się jezioro Markakol – wyróżniające się niezwykle przejrzystą kryształową wodą. Ma ono powierzchnię 465 km² i głębokość do 30 m. Do jeziora wpada wiele rzek i strumieni, a wypływa jedna, Kaldżir, będąca dopływem Czarnego Irtyszu. Brzegi porasta górska tajga obfitująca w zwierzynę – od niedźwiedzia i pantery śnieżnej do sobola i gronostaja.

W jeziorze Markakol żyje kilka gatunków ryb. Zdaniem ichtiologów ma ono wszelkie warunki na wprowadzenie tu pstrąga. Czterokrotnie podejmowano próby introdukcji, lecz żadna nie dała wyniku – pstrągi uciekają z jeziora rzeką Kaldżir.

W roku 1978 założono nad jeziorem rezerwat o powierzchni 70 tys. ha. Po zbudowaniu stacji naukowej powstanie w niej placówka ichtiologiczna; może ona pomoże wyjaśnić zagadkę: dlaczego Markakol nie podoba się pstrągom?

51
MARIA BOROWA

OGRODY

Roześmiała się i złapała równy oddech. Chwilę rozważała coś w skupieniu.

– Dlaczego? – spytała poważnie, wcale nie dziecinnie.

Spojrzał na nią z podziwem.

– Mądra Baba Jaga – powtórzył. – I dobrze. Nie wiedziałem, że aż tak. Tylko nie wolno ci obrażać Jany. Nie mogę zakochać się w niej, bo jestem za głupi. To ja nie mam żadnych szans, rozumiesz? Ona może przebierać w chłopakach. W mężczyznach... – dodał i zmieszał się. Teo zamrugała oczami. – ... ile tylko chce – dokończył. – A te wszystkie grupy z wybrzeża kochają się w niej co do jednego. Przyjrzyj się Janie dobrze i zrozum wreszcie że to ją... nie tylko Ma...alwinkę powinnaś rysować kredkami. Zapamiętaj, zrozum – poprawił się. – Jana jest piękna. Taka artystka malarka – powiedział z naganą – a nie zna się na urodzie.

Podniósł się, zostawiając ich zaskoczonych i zdziwionych.

– Kocham Janę i bez twojej namowy – oznajmił odwrócony do Teo plecami, zastygłej teraz w zmieszaniu. – Jasne? To ona mnie nie chce. Idziemy do ogrodu. Koniec przerwy na papierosa i towarzyskie rozmowy.

Wtedy nie wiedział prawie nic o Janie. Ani o prześlicznej, niematerialnej Malwince, tajemniczej Ewie Zagórskiej. Nic o słabości i sile Jana Zagórskiego. Ani tego, że cała kolekcja zegarów ze starego domu została sprzedana. I że pieniądze liczone przez Teofila zza okna nie były przeznaczone dla niego. Że było ich więcej, niż mogły to sobie wyobrazić dzieci. Poza tym, co było niejako pociechą dla Jana Zagórskiego, nabywca jego kolekcji podchodził do sprawy emocjonalnie. Umiał słuchać zegarów i dotykał ich nie tylko ze znawstwem. Delikatnie, jakby żyły i mogły odczuć ciepło jego ręki. To przeważyło. Ekspert z Desy nie dowie się nigdy, czym starszy, niepozorny konkurent ze Strzelna przebił jego ofertę.

... a zmęczenie Jany i jej myśli w coraz częstszych chwilach buntu?

Decyzję podjął sam Zagórski, po rozmowie z Janą i jej powrocie z długiego pilotowania zagranicznej wycieczki w Poznańskie.

Zastała ich w kuchni, późnym popołudniem, nad stertą brudnych naczyń, przypalonych garnków i zjełczałym masłem w dziwnie wybrzuszonej patelni.

– Jana!!! – wrzasnęli radośnie malcy.

– Jana... Dobrze, że jesteś – westchnął z ulgą mężczyzna.

Zatrzymała się w drzwiach. I wybiegła, zatrzaskując je głośno za sobą.

– Odchodzę stąd – powiedziała nazajutrz. Jan siedział przy stole w pracowni, był chłodny, słoneczny ranek. Dzieci i Ewa spali, w szeroko otwartym oknie wiatr wydymał firanki. Poczuła zimno i ścisnęła dłońmi ramiona. Nie chciała, żeby pomyślał, że drży z innego powodu. Jan milczał. Nie zauważyła, że ma zmęczone, trochę nieprzytomne oczy, jakby i on nie spał całą noc.

– Odchodzę, słyszałeś? – powtórzyła głośno, z nutą histerii w głosie, nad którym, ku swemu zdziwieniu i złości, nie potrafiła zapanować.

– Tak – padło od stołu.

– W porządku zatem. – Roześmiała się nienaturalnie. Czuła, że nie pokona zdenerwowania i nic nie mogło tego faktu zmienić.

– Porozmawiamy teraz czy wieczorem? A może wcale? – W pytaniu była gorycz i wyrzut. Słowa padły jak kamień, ciężki i lodowaty, uderzyły ich oboje.

– Przepraszam – powiedział za nią Jan. – Wstał i patrzył w skupieniu i ze smutkiem. – To niewiele, oczywiście... Nie zauważyłem... Egoizm i wygoda...– pokiwał ze zdziwieniem głową. Tylko tyle, nic więcej.

Jeszcze przed chwilą przyznałaby mu rację i krzyknęła, że nie wybacza się tak łatwo. Że za dużo było tej wygody i egoizmu... Teraz chciała krzyknąć „nieprawda!", wycofać się, ale było na to za późno i obydwoje o tym wiedzieli. Żałowała go – znów – tak głęboko, jak w nocy po raz pierwszy żałowała siebie.

– Jan... – powiedziała cicho. – To nieprawda. Byłam zdenerwowana... Niepotrzebnie. Przepraszam cię za wczoraj. Za dziś też. Czasem nie odpowiadamy za siebie. Nic się nie stało, nic... zgoda?

– Nie. – Patrzył na nią uważnie, z nie znaną jej dotąd ciekawością. Otrząsnął z siebie zdumienie. Już wiedział, dlaczego TO powiedziała i co ma zrobić sam.

– Nie – powtórzył. – Za długo byliśmy wszyscy wygodni. Ja byłem. Odejdziesz, oczywiście, jeżeli chcesz. I muszę się na to zgodzić, pozwolić ci. Nas jest czworo, a ty nie możesz zostać sama w takim dużym, pustym domu. I ogrodzie... Zrobię to... tak. Tylko poczekaj trochę. Nie dziś, nie zaraz. Porozmawiamy wieczorem. Jana?...

Tak podjął decyzję o sprzedaży zegarów. Dla niej. Nie przypuszczał tylko, że Jana chce odejść aż tak daleko.

– Dokąd? – zająknął się ogłuszony jej słowami.

Tak więc wygląda Ewa Zagórska, Malwinka.

Łakał coś, zaskoczony. Kiedy szedł za nią, wydawała mu się zwyczajna. Była i nie było jej. Zauważał dziewczyny, nie kobiety. Wszystkie były jednakowe, stare. Nawet te dwudziestoparoletnie.

Wpadł na nią przy furtce. Odwróciła szybko głowę, trochę zaskoczona.

– Przepraszam – wzruszył ramionami. Ma paść na kolana? Nie odchodziła. Zdziwił się. Skąd ktoś obcy w ich kącie parceli? W domu nie ma nikogo... Pomyślał, że kobieta jest pechowym gościem-intruzem.

– W domu nie ma nikogo – powiedział głośno.

Wtedy się roześmiała.

– Jesteś Marek. – Nie pytała, stwierdziła fakt.

Wyciągnęła rękę, szczupłą, opaloną, piękną, nie można było tego nie zauważyć. Widział takie na reklamach kosmetyków w kolorowych zagranicznych czasopismach. Ciotka pożyczała czasem „Burdę" od sąsiadki i wieczorami, wzdychając, oglądała przy lampie. Prawie tak doskonałe ręce jak te miała Monika. Nieraz myślał, żeby... Zmieszany udał, że nie dostrzega wyciągniętej dłoni.

Cdn.

Święty Mikołaj

Aby dotrzeć do wszystkich maluchów we właściwym czasie, potrzeba wielu Mikołajów. Grupa pozująca do zdjęcia stanowi część 200-osobowego zespołu, jaki przybył w grudniu z USA do Moskwy, aby spotkać się z małymi mieszkańcami stolicy ZSRR.

Fot. **CAF**

W kosmos panowie!

(PAP). Amerykańskie biura turystyczne po wyprawach w strefę Arktyki i Antarktyki snują już nowe plany. Pierwszy turystyczny lot w kosmos planowany jest na rok 1992, dla upamiętnienia 500 rocznicy odkrycia Ameryki przez Kolumba.

Towarzystwo „Pacific American Launch Systems" z Los Angeles zamierza zainwestować 200 mln dolarów w budowę pierwszego w świecie turystycznego promu kosmicznego.

Pasażerski wahadłowiec zabierałby na pokład 20 osób. Skalkulowano koszt turystycznego lotu kosmicznego, który trwałby 12 godzin, na 50 tys. dolarów od pasażera.

Uderzenie żmija

Kombinacja ta symbolicznie została nazwana „żmiją" przez radzieckiego arcymistrza Włodzimierza Agafonowa. Jak widać na diagramie 20, każdy zawodnik dysponuje 19 kamieniami: 1. 27-22 18:27 2. 29:18 13:33 3. 38:29 27:49 4. 36-31 26:37 5. 41:32 49:27 6. 29:23 19:28 7. 39-33 28:30 8. 35:24:15:4:13::2:11:22:31 (diagram 21).

Kamienie ułożyły się na szachownicy jakby w kształcie żmii. Biały kamień z pola 35 zaczyna bić od „ogona", skacząc następnie zygzakiem i kończąc na „głowie", którą symbolizuje czarna damka stojąca na polu 27.

A oto partia Agafonow-Safonow osnuta na tym uderzeniu. Białe stoją na polach: 23, 25, 29, 33, 36, 37, 41, czarne na polach: 8, 9, 14, 15, 16, 26, 27. 1. 23-18 14-19 2. 18-13 9:18 3. 36-31 27:47 4. 29-24 47:20 5. 25:14:23:12:3X.

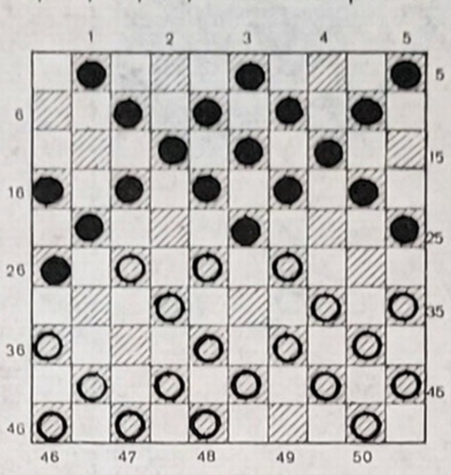

Diagram 20

KRÓLOWA GIER

Turniej warcabowy GK ZHP i „ŚM"

prowadzi Romuald Frey (10)

Białe stoją na polach: 27, 31, 32, 37, 38, 42, 48. Czarne: 9, 14, 16, 18, 22, 23, 28. Białe zmuszają czarny kamień stojący na polu 22 do przejścia na pole 31, tak, że musi się on zatrzymać między dwoma białymi: 1. 31-26 (posunięcie takie jest charakterystyczne dla tego uderzenia) 1. ...22:31 2. 26-21 16:27 3. 37:26 28:37 4. 42:4X.

Jest jeszcze wiele bardzo interesujących uderzeń. Niestety nie możemy ich wszystkich zamieścić, chętnych je poznać odsyłamy do literatury fachowej.

W następnym numerze rozpoczynamy zamieszczanie zadań warcabowych do samodzielnego rozwiązywania. Każde zadanie będzie punktowane. Za prawidłowe rozwiązanie zamieszczonych zadań wylosowana zostanie nagroda-niespodzianka.

Uderzenie mostek

Zawodnicy radzieccy nazywają je też „trapem" lub „ekspresem". Białe chcąc się dostać na damkę budują z czarnych kamieni jakby mostek (trap), po którym przechodzą na damkę lub też wykonują pojedyncze posunięcia, jakby drobne kroczki, tak jak człowiek schodzący po trapie. Czasem nazywamy je też uderzeniem pierwszego mistrza świata Izydora Weissa. Dla białych rozpoczyna się ona z pola 33, a dla czarnych z pola 16. Oto schemat tego uderzenia.

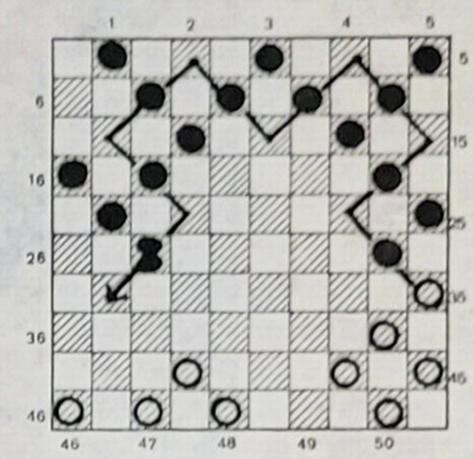

Diagram 21

197 km NA LITRZE BENZYNY!

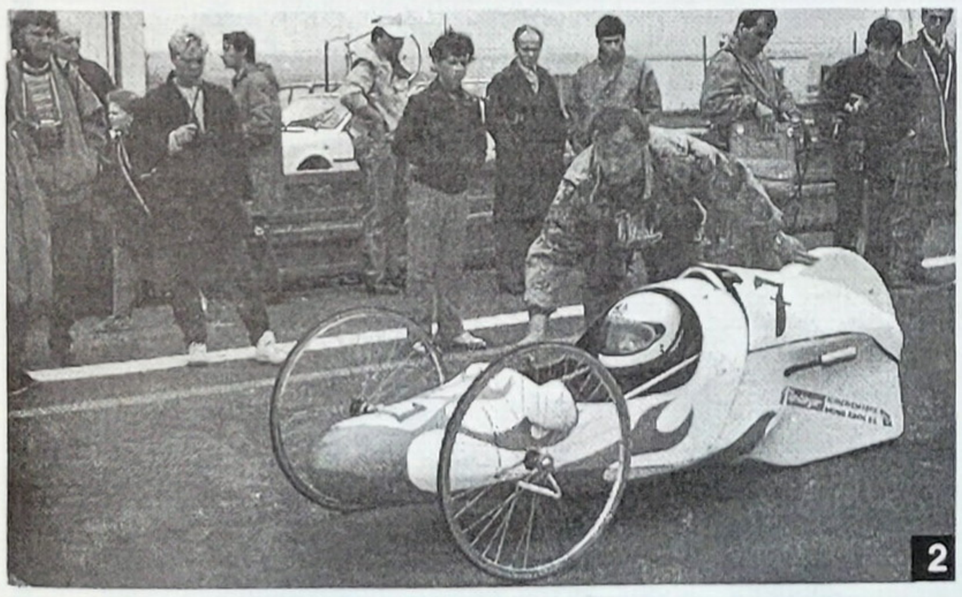

W czerwcu 1989 r. odbyły się w czeskim Moście zawody pojazdów z napędem benzynowym o pierwsze miejsce w minimalnym zużyciu paliwa. Każdy zawodnik miał dwie jazdy po pięć okrążeń. Przed startem dostawał ściśle 200 ml benzyny, na mecie zbierano pozostałość do cylindra miarowego.

W zawodach wzięło udział 13 pojazdów. Konstruktorzy zastosowali silniki motocyklowe Jawy Pionier 50, częściej dwutakt z mopedu Jawa Babetta, a także radzieckie silniki motorowerowe i włoskie Ducati Cucciolo.

Zwycięzca pierwszej tury jazd miał w baku nadmiar 134 ml paliwa! W drugiej turze pogorszyły się warunki atmosferyczne, padał deszcz, stąd zwycięzca miał „tylko" 141 ml nadmiaru benzyny. Liczono najlepszy wynik z obu jazd i, oto zwycięzcy (patrz tabela).

miejsce	kierowca	numer startowy	km/l	km/h	silnik
1.	Paweł Skoda (Jaromierz)	6	197,0	27,22	Cucciolo/Karex
2.	Paweł Slavicek (Telcz)	1	176,1	24,81	Babetta
3.	Teresa Brill (Rokiczany)	7	170,9	23,91	Babetta
4.	Piotr Bromovsky (Roztoki)	8	168,4	30,83	Cucciolo/Baghira
5.	Jerzy Vana (Beczów)	4	78,0	25,81	Pionier

197 km/l, to o 6% więcej, niż wynosił rekord ubiegłoroczny. Może w przyszłym roku będzie więcej zawodników i ten rekord też padnie? **(kg)**

Na zdjęciach:

1. Karex – zwycięzca po raz trzeci
2. Start Teresy Brillówny
3. Baghira zespołu redakcyjnego VTM

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Małgorzata Szczepańska i Grzegorz Burakiewicz tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 2000 zł za 1 cm². Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa, nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Spółka z o.o. „POLOLIMP" w Warszawie.

Zam. P-47/89. A-42.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi
Zam. 4003/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 8 (4714)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

LUCKY LUKE

43

Autorką mego portretu jest **Emilia Janowska** – członkini Rzepklubu.

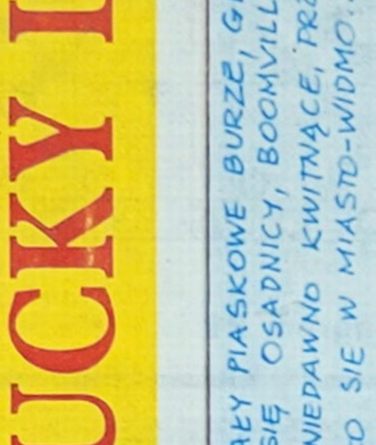

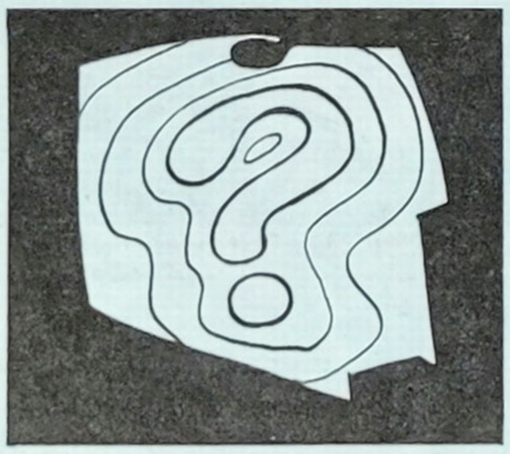

PROGNOZA POGODY:

Państwowy Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny, Dział Prognoz Długoterminowych przewiduje, że na terenie całego kraju, do końca miesiąca będzie pogoda jak na zdjęciu satelitarnym (obok).

NOWE PAPIEROSY!

Zaprojektował **Marcin Chmielewski**, którego zapisuję do Rzepklubu. Konkurs trwa! Zwalczajcie nikotynizm!

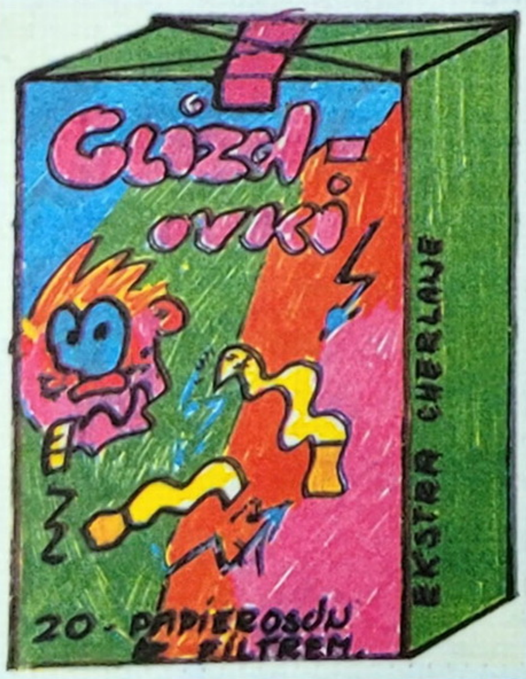

REDAGUJE WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Oto garść nadesłanych mi anegdotek:

– Panie kolego, czym się tłumaczy, że zawsze zaczyna pan mycie swego samochodu od numeru rejestracyjnego?

– Żeby mieć pewność, że nie myję cudzego samochodu!..

★

– Mamooooo! Józek ugryzł mnie w ucho!

– Nieprawda! Sam się ugryzł, a teraz zwala na mnie!..

★

– Więc oskarżony przyznaje się, że podczas polowania postrzelił poszkodowanego?

– Tak.

– Czy oskarżony może przedstawić sądowi jakieś okoliczności łagodzące?

– Owszem, proszę wysokiego sądu. Poszkodowany nazywa się Zając...

★

Wyszperały: **Agata Król** i **Małgosia Kruk.** Obydwie zapisuję do Rzepklubu.

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

RZEPKLUB

Żarty rysunkowe obok wyszperali: **Maciej Gogaliński** i **Anka Skalik**, których zapisuję do klubu.

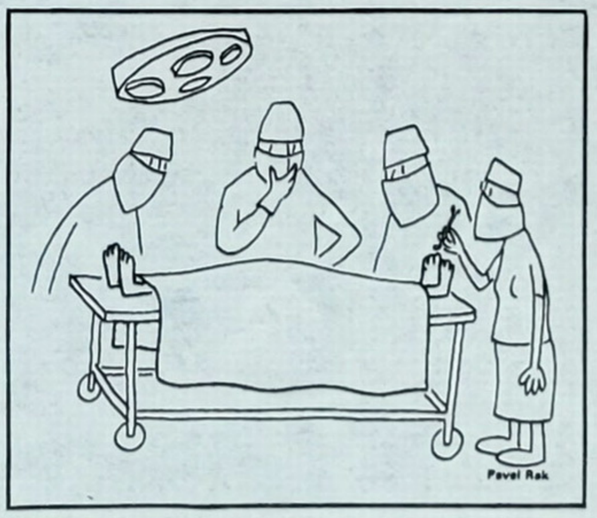

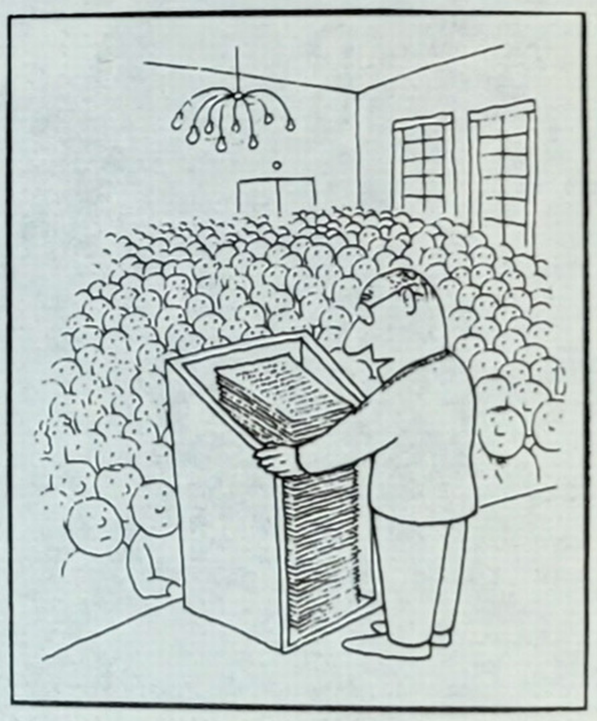
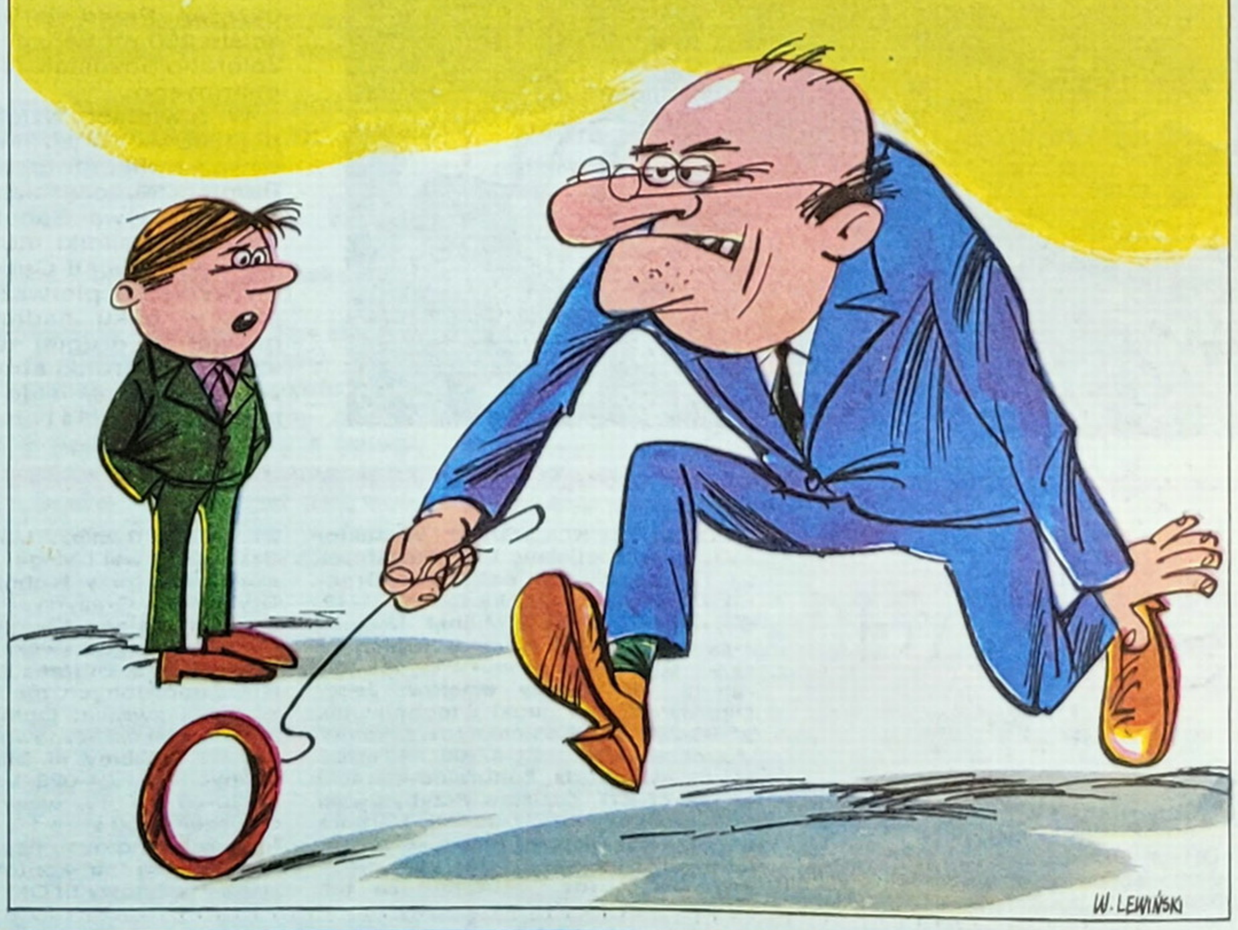
– Jak twój dziadek był mały i nie miał zabawek, to wystarczała fajerka i kawałek drutu.
– Tak, ale gdzie teraz można dostać fajerkę, dziadku?..